

Oskar Anweiler

Dom mojego dzieciństwa w Stanisławowie

Habent sua fata libelli – ale przecież nie tylko książki i ich historia, swoje losy mają również domy, chociaż nie mówią one do nas bezpośrednio. Mają coś do opowiedzenia nie tylko szlacheckie dwory na wsi, magnackie zamki, czy też paradne, mieszczańskie budowle w miastach. Niektóre z nich są częścią zbiorowej pamięci, pozostając pod opieką konserwatorską.

Tutaj jednak będzie mowa o niepozornym domu, nigdzie i przez nikogo nie wspomnianym, domu mojego dzieciństwa w Stanisławowie, z lat poprzedzających wybuch wojny w 1939 r. i z czasu przesiedlenia Niemców. Jestem jedynym, który może o tym opowiedzieć – dlatego pojechałem tam po latach. W rodzinnych stronach byłem dwukrotnie, najpierw w maju 1999 r. i w październiku 2010 r., zastając ten dom prawie takim, jakim był przed ponad siedemdziesięciu laty.

Od mojego kolegi i przyjaciela z Uniwersytetu Warszawskiego otrzymałem niedawno w prezencie książkę, która mnie natychmiast urzekła. Tadeusz Olszański, mój rówieśnik, który wyrósł w Stanisławowie, przedstawił ulica za ulicą, historię tego miasta i związane z nim własne młodzieńcze wspomnienia¹. „Stanisławowa już nie ma”, pisze autor na wstępie, „jest Iwano-Frankiowsk. Ale w Iwano-Frankiowsku najpiękniejszą częścią pozostał Stanisławów, to, co minione”. Atmosfera tego założonego w 1662 r. miasta, które trzysta lat później przemianowano, ożyła przy lekturze także i dla mnie, jakkolwiek inaczej niż w przypadku syna polskiego lekarza: nie z punktu widzenia polskich wyższych sfer, lecz z perspektywy członka niemieckiej mniejszości, który poza tym mieszkał na południowym skraju miasta, nie zaś, jak większość z górą dwóch tysięcy Niemców – w „Kolonii Knihinin”, gdzie znajdowały się także zakłady pastora Theodora Zöklera.

¹ Olszański T. (2008). *Kresy kresów – Stanisławów*. Warszawa: Wydawnictwo ISKRY.

Nasz dom znajdował się przy ulicy Gołuchowskiego. A że patronem jej był polski generał w c.k. armii przed 1918 r., ulica zachowała swoją nazwę również w Rzeczypospolitej Polskiej do 1939 r. Pasowało to zresztą do okolicy, gdzie znajdowały się koszary piechoty, kawalerii i artylerii – my dzieci zawsze przeżywaliliśmy jako poruszający spektakl przemarsz żołnierzy, ale przede wszystkim stęp [koni] ułanów, udających się w dniach świątecznych na msze w mieście, z towarzyszącymi im zawsze orkiestrami.

Dom pod numerem 116 zbudowany został jeszcze przed 1914 r. przez moich dziadków ze strony matki. Philip Kolb był mistrzem masarskim, więc oprócz budynku mieszkalnego na gospodarstwo składały się masarnia, mieszkanie dla czeladników, stajnie i wreszcie, sad oraz warzywnik. Warzywnik graniczył bezpośrednio z dużym ogrodem miejskim; jako chłopiec mogłem się do niego dostać przez dziurę w płocie z drutu kolczastego. Kiedy mój ojciec, który zajmował dobre stanowisko prokurenta w fabryce marmuru w Rawiczu, położonym w dawnej Prowincji Poznańskiej, gdzie się urodziłem, zmarł w 1927 r. w wieku 28 lat – młoda wdowa, wraz ze mną, wówczas dwuletnim, powróciła do swego rodzinnego domu w Stanisławowie. Kiedy i jej ojciec zmarł w wyniku wewnętrznych obrażeń na skutek napadu w 1929 r., dorastałem w jego domu, pozostając w nim z matką i babką.

Zamieszkiwaliśmy obszerną kuchnię, dzienny pokój i dwie sypialnie. Znajdująca się w domu masarnia została wynajęta. Drewniany wykusz, a także zadaszone drewnem wejście do piwnicy w podwórzu, jeszcze w październiku 2010 r. były w prawie nienaruszonym stanie. Nasz dom miał szeroką bramę wjazdową, a także solidną drewnianą bramę prowadzącą na ulicę; ponieważ była zadaszona, służyła nam chłopcom, przy złej pogodzie jako miejsce zabaw. Mały, sąsiedni dom, ogrodzony drewnianym płotem, zamieszkiwało starsze żydowskie małżeństwo. Dwa domy dalej [mieszkał] polski mistrz masarski, [który] przejął zakład produkcyjny. Kilka lat później wybudował dwupiętrowy dom mieszkalny z zakładem, największy po tej stronie ulicy. Jeszcze w 1999 r. można było odczytać na bocznej ścianie tego budynku, jego nazwisko i napis: „mięso i wędliny”. Jedenaście lat później ściana ta została odmalowana, a tym samym i te resztki przeszłości wymazano.

Przed wejściem do parku stał dom dyrektora polskiego gimnazjum w Stanisławowie, który miał syna w moim wieku i córkę. Z chłopcem byłem zaprzyjaźniony; bawiliśmy się razem na naszym podwórku albo w jego ogrodzie. Przedtem jednak musiałem mu towarzyszyć przy odrabianiu lekcji – jego ojciec sądził bowiem, że powinien brać ze mnie przykład, jako że ja odrabiałem lekcje zaraz po obiedzie, żeby mieć czas na coś innego. Rola ta nie przypadła

mi naturalnie do gustu, zwłaszcza, że mówiono o „wzorcowej niemieckiej dyscyplinie uczenia się”.

Dom, podobnie jak wszystkie inne, nie miał żadnej kanalizacji; na podwórzu znajdowała się pompa ręczna, która często, także i w zimie dostarczała wodę z głębin. Do połowy lat 30. nie było także w tej części miasta elektryczności. Mieliśmy kilka lamp naftowych; w długie zimowe wieczory piękna lampa stołowa roztaczała wokół siebie przytulne światło. Miłego ciepła dostarczał piec kaflowy. Mógłby on jeszcze i w 1999 r. działać – jak nam powiedziała młoda ukraińska nauczycielka, która zaprosiła nas chętnie do pomniejszonego tymczasem mieszkania. Z dwóch pomieszczeń zrobiono dwa oddzielne lokale, nie zmieniając jednak układu przestrzennego, więc nowej mieszkance domu, mogłem dokładnie pokazać, gdzie odrabiałem lekcje albo wieczorem, przy wielkim kuchennym stole czytałem lub bawiłem się cynowymi żołnierzykami. Przy ostatnich odwiedzinach zastałem nową lokatorkę, tym razem starszą kobietę, która już wkrótce zamierzała się wyprowadzić, gdyż dom, jak powiedziała, ma zostać zburzony. A był on rzeczywiście mocno już zapuszczony; podwórze było porośnięte trawą i krzakami, zaślane rupieciami, a stara brama znikła.

Chociaż, jak wspomniałem, nasz dom położony był w południowej części miasta, nie zaś we wschodniej, zamieszkałej przez większość Niemców, to był on jednak miejscem wielu spotkań. Także pastor Theodor Zöckler, którego wszyscy szanowaliśmy, należał do grona gości, zwłaszcza że moja babka nie tylko była bardzo wierząca i często uczęszczała do kościoła, lecz należała także do aktywnych członków kościelnej wspólnoty. Z tego, o czym rozmawiali dorośli nic nie rozumiałem, ale dostrzegałem wzajemny szacunek i głębokie zrozumienie. Kiedy w styczniu 1939 r. zmarła moja babka, Theodor Zöckler celebrował żałobne nabożeństwo. Za trumną niesioną na cmentarz przy ewangelickim kościele w orszaku żałobnym kroczyli także polscy i ukraińscy sąsiedzi. Na początku lat 50. kościół wysadzony został w powietrze, groby usunięto – dzisiaj jest to teren zielony z kilkoma zachowanymi nagrobkami z czasów sprzed 1939 r. i nowymi pomnikami. Nic już w tym miejscu nie przypomina o Niemcach w Stanisławowie.

Po dwóch latach uczęszczania do polskiej publicznej szkoły powszechnej, położonej około dziesięciu minut drogi od naszego domu, przenieśliśmy się do prywatnej szkoły ludowej, a później do niemieckiego gimnazjum przy ulicy Kilińskiego, niedaleko dworca. Miałem tam mniej więcej pół godziny drogi – czy słońce, czy śnieg musiałem iść przez całe miasto. Jeszcze 60 lat później mogłem taksówkarzowi dokładnie opisać drogę, zanim zatrzymał się przed domem pod numerem 116 przy ulicy Puszkina, jak się wówczas nazywała. W 2010 r. ulica

znowu zmieniła nazwę: nadano jej imię Czornowila – na cześć ukraińskiego polityka, który kilka lat wcześniej zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Nasz dom przetrwał dotąd wszystkie zmiany nazwy ulicy i zachował swój numer. Zmieniający się od 1939 r. jego mieszkańcy, z całą pewnością przeżywający na różne sposoby „wielką historię” i kolejne zmiany polityczne, także i oni mogliby wiele opowiedzieć.

„Stanisławowa już nie ma”, pisze polski autor. A i dom mojego dzieciństwa ma niebawem zniknąć. Pozostają tylko wspomnienia.

Z języka niem. przełożył
Miroslaw S. Szymański